



MAREK
STELAR

Z WYPRAWY W PRZESZŁOŚĆ
NIE KAŻDY WRACA TAKI SAM...
SĄ TEŻ TACY, KTÓRZY NIE
WRÓCĄ NIGDY.

CZARNA
WDOWA

FILIA

MAREK
STELAR
CZARNA
WDOWA

FILIA

SYLWESTER

Miasto czekało na nadejście północy. Tej jedynej w roku, wyjątkowej. Co pewien czas na niebie pojawiał się błysk fajerwerku wypuszczonego przez jakiegoś niecierpliwego dzieciaka i rozlegał się krótki, zwielokrotniony odbitym od budynków echem huk.

Samotny człowiek stał na ulicy pod skalną ścianą opadającą ku rzece, nieopodal Baszty Młyńskiej. Na nocnym niebie majaczył zarys zamku. Było zimno, ale mężczyzna nie miał czapki. Zaciśnięte w pięści ręce wbite były w kieszenie płaszcza. Czekał, przestępując z nogi na nogę i rozglądając się co jakiś czas wokół siebie, ale dookoła było pusto. Fragment ulicy rozświetlał blask latarni, oblekając stojącego pod nią człowieka pomarańczową poświatą, a mocny, czarny cień podrygiwał na bruku w rytm ruchów jego nóg i ramion. Usta mężczyzny obejmowały ustnik papierosa, z nosa co chwilę ulatywały kłęby dymu, porywane natychmiast przez targający nimi wiatr. Dym wirował wokół męskiej głowy i zniknął, rozszarpany podmuchami zimnego powietrza. Sprewa leniwie toczyła swoje wody, z oddali dochodził szum rzeki przelewającej się przez stopień.

Przybysz zaskoczył mężczyznę. Kiedy ten zorientował się, że ktoś stoi za jego plecami, odwrócił się gwałtownie i sapnął przez nos, zły na siebie, że wystawił się staniem pod tą cholerną lampą jak jeleni na strzał. Minęło tylko parę lat, odkąd zmienił robotę, a w poprzedniej takie rze-

czy były niedopuszczalne. Tamten ukryty był w mroku, na głowę zarzucony miał kaptur, widać było tylko, że jest raczej drobnej budowy.

– To ty napisałeś te bzdury? – zapytał mężczyzna przez zaciśnięte na papierosie zęby, sięgając za pazuchę i wyciągając z wewnętrznej kieszeni kartkę papieru zapisaną kilkoma linijkami tekstu. – Myślisz, dupku jeden, że nie mam dziś nic lepszego do roboty niż wałęsanie się po mieście o takiej porze? Jeśli chcesz mnie szantażować, to...

– Bzdury? A jednak przyszedłeś, prawda? – odpowiedział przybysz cicho.

Kiedy mężczyzna usłyszał złowrogi głos, jego oczy rozszerzyły się lekko. Zrozumiał, że popełnił błąd, przychodząc tu. Cofnął się o krok, wyszarpnął ręce z kieszeni i odchylił mocno do tyłu, a papieros wypadł z ust i stoczył się po klatce piersiowej na ziemię, uderzając o nią żarem. Na boki przysnęły pomarańczowe drobiny, zmiecione od razu przez wiatr.

– Co ty...

Nie dokończył. Ostrze młotka z głośnym chrupnięciem wbiło się w jego oczodoł i czaszkę, docierając do mózgu. Drugie oko uciekło do góry i w głąb czaszki, jakby mężczyzna chciał ostatnim spojrzeniem obrzucić narzędzie, którym zadano mu śmierć, a ze ściśniętego szokiem gardła przez szeroko otwarte usta wydobyło się stęknienie. Nogi ofiary zwiotczały i ciało osunęło się bezwładnie na ziemię, okręcając się wokół własnej osi i upadając z głuchym plaśnięciem na bruk. Szeroko rozrzucone ramiona zadrgały w ostatnim spazmie, zostając w tej pozycji niczym skrzydła konającego ptaka, a sterczący z oczodołu młotek pogłębiał to karykaturalne wrażenie, przypominając monstrualny dziób. Mor-

derca schylił się, chwycił mocno za trzonek i wyszarpnął narzędzie, zostawiając ogromną, ziejącą ranę. Było niewiele krwi. Stał przez chwilę nad ciałem, przyglądając się swemu dziełu, i oddychał szybko, a z jego ust ulatywały kłęby pary. Nie wypuszczając młotka z ręki, drugą szybko wyciągnął zza pazuchy jakąś paczkę, odwinął papier, a potem rzucił na ciało. Czarny, bezkształtny i miękki przedmiot upadł z pląsnięciem na klatkę trupa, przetoczył się po niej, jak przed chwilą papieros, i zsunął pod prawą pachę, zostając tam.

Morderca schylił się i pełnym wściekłości szarpnięciem wyrwał kartkę z zacisniętych w agonii palców trupa, a potem schował ją tam, skąd przed chwilą wyjął pakunek. Drgnął nagle, kiedy gdzieś niedaleko wybuchła petarda, a sekundę później zaczęła się kanonada. Donośny huk sztucznych ogni rozbłyskujących nad miastem zagłuszał jego pośpieszne kroki. Odpalona blisko raca syknęła głośno, szybując ku niebu, i rozbłysła nagle nad ciałem, nadając blednącej skórze twarzy seledynowy odcień. Pióra martwego kruka wciśniętego pod pachę trupa błyszczały przez chwilę opalizującą zielenią, a kiedy raca zgasła, wszystko spowił mrok, którego nie mogły rozproszyć nawet uliczne latarnie.

Budziszyn witał nowy, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty rok.

HORNJA ŁUŽICA / OBERLAUSITZ / GÓRNE ŁUŻYCE

– *Mój boże, Hajnak...* – powiedziała starsza kobieta, zasłaniając dłonią usta i cofając się lekko w drzwiach.

W szeroko otwartych oczach mignęło wszystko. Zdziwienie, zaskoczenie, może radość. Upłynęło kilka sekund, zanim go poznała, ale Vogel nie dziwił się temu. Ponad dziesięć lat temu widzieli się po raz ostatni, na pogrzebie matki. Może nie zmienił się zbyt wiele, ale jego wizyta musiała być zaskoczeniem, zważywszy na to, że od tamtej pory nie utrzymywali kontaktu. A on zdążył nawet zapomnieć, że ciotka Hilža tak go nazywała. Łużycką formę imienia i wiele innych wspomnień z dzieciństwa wyparły z pamięci te nowe, a on oddałby wszystko, żeby to te ostatnie zniknęły, a wróciły tamte.

Jadąc do Bautzen, Heinrich Vogel bez przerwy zastanawiał się, po co właściwie tam jedzie. Zmienić klimat? Odciąć się od ostatnich wydarzeń, które znów zburzyły jego w miarę poukładane życie? Wrócić do miejsc i spotkać ludzi, którzy kojarzyli mu się z beztroską dzieciństwa, bezpieczeństwem i tym wszystkim, co stracił dwadzieścia lat wcześniej i czego nigdy potem nie miał? I czy to mogło sprawić, że w szufladkach jego pamięci zrobi się nagle porządek? Hilža Witkojc, *de domo* Noack, starsza siostra jego matki, była jedną z osób, z którymi łączyły go dobre wspomnienia. Widząc ją teraz, Vogel zdał sobie sprawę, że decyzja, którą podjął spontanicznie, była dobra.

– *Morgen, Tante Hilža...* – mruknął, patrząc ciotce w twarz i widząc w niej rysy swojej matki.

Nie były bliźniaczkami, ale podobieństwo było uderzające, nawet pomimo tego, że starość zmieniła ją nieco. Ostatnia dekada nie była dla ciotki łaskawa, czas pokazał bezlitosną moc swojego upływu. Przez chwilę Vogel zastanawiał się, jak wyglądałaby matka, gdyby dane jej było dożyć wieku starszej siostry.

– Wejdz, Henryk, wejdz, proszę – powiedziała ciotka po niemiecku, świadoma, że nie będzie jej rozumiał, jeśli powie to po łużycku.

Z wyjątkiem praktycznie kilku słów nie pamiętał już niczego.

Bywał tu rzadko; z matką jeździł głównie do Chociebuża, gdzie pracował dziadek Petr. Noackowie pochodzili z Górnych Łużyc, z okolic Budziszyna, ale dziadek dostał nakaz pracy właśnie w Cottbus i to u niego przeważnie zatrzymywali się na dwa tygodnie i stamtąd robili wypadki do Szwajcarii Saksońskiej. Czasem przyjeżdżali i do Budziszyna, ale zwykle matka bywała tu bez niego, zwłaszcza kiedy zaczęła jeździć sama, a dziadek Petr przeszedł na emeryturę, a potem zmarł, o ile Vogel pamiętał, w dziewięćdziesiątym siódmym roku. Czasem miał wrażenie, że matka nie chciała go przywozić do domu rodzinnego.

Dom Witkojców znajdował się przy Nadelwitzer Strasse, we wschodniej części Budziszyna, niedaleko wylotówki na Görlitz, ale równocześnie w cichej, spokojnej okolicy, do której nie dochodziły odgłosy miasta. Na tabliczce z nazwą ulicy, jak na wszystkich innych kolejnych napisach, nieco mniejszymi literami podawał również łużycką nazwę: Nadžan-

ska droha. Budynek był nieduży, ale bardzo oryginalny. Dwukondygnacyjną elewację z żółtego piaskowca starannie odnowiono, w narożnikach widać było wstawki z szarego granitu. Otwory okienne i drzwiowe obramowane były ościeżami kontrastującymi prostotą z nieregularnymi kształtami głazów użytych do budowy ścian, a część piętra wykonana została w konstrukcji szachulcowej: siatka z brązowych belek wypełniona była białymi polami tynku. Całość wieńczył dwuspadowy dach pokryty szarym gontem z łupka. Dom stał tuż przy wąskiej brukowanej uliczce, do wejścia prowadziły trzy kamienne stopnie: Vogel stał teraz jedną nogą na najniższym z nich, druga została na bruku.

Ciotka Hilża cofnęła się jeszcze bardziej w głąb domu, a on wszedł do środka, czując, jak pochłania go ciemność. Kiedy zamknął za sobą drzwi, odcinając pomieszczenie od dostępu słonecznego światła, mrok się pogłębił. Ciotka zaprowadziła go do kuchni na tyłach domu. Widok za oknem napawał optymizmem, bo ogród pysznił się soczystą zielenią trawnika i kilku niewielkich drzew. Od sąsiedniej posesji oddzielał go parkan z drewnianych paneli obrośniętych bluszczem. Vogel wpatrywał się przez chwilę w okno i widząc zielen, zatęsknił za przystanią i swoją łodzią, na której spędził ostatnich kilka lat. Pomyślał też o Iwonie, zastanawiając się, co teraz robi.

– Przykro mi z powodu Worśy. – Głos ciotki, a zwłaszcza ostatnie słowo: lużyckie imię jego matki, wyrwał go z zamyslenia. – To już tyle lat...

– Nie ma chyba dnia, żebym jej nie wspominał – odparł cicho. – To była jedyna osoba, która dała mi wszystko, czego potrzebowałem. I robiła to przez cały czas, aż do śmierci.

– Nie odzywałeś się tak długo... – Ciotka popatrzyła na niego smutno. – Od jej pogrzebu. Wcześniej też nie.

Pokiwał głową, jakby ten fakt wymagał potwierdzenia.

– Przepraszam – powiedział po dłuższej chwili. – Musiałem zmienić swoje życie, dojsć do siebie. Zabrało mi to trochę czasu.

– Ale teraz jest już w porządku?

Znów milczenie. Nie zamierzał opowiadać ciotce ani o tym, jak ojciec zniszczył go kiedyś i teraz, ani o Miszy, ani o niczym, co wydarzyło się ostatnio i sprawiło, że jego poskładane od biedy do kupy życie runęło jak domek z kart.

– Tak, teraz jest już w porządku. Mniej więcej. – Uśmiechnął się z lekkim przymusem.

Ciotka poweselała nieco.

– Co cię tu sprowadza? – zapytała.

– Sam nie wiem. To znaczy... – Zreflektował się poniewczasie i sapnął przez nos z lekkim zakłopotaniem. – Jesteście moją jedyną rodziną, *Tante*. Przyjechałem tu spontanicznie i... – Wzruszył ramionami.

– Witaj w domu, Hajnak – szepnęła ciepło, potem objęła dłońmi jego głowę, przyciągnęła ją do siebie, stanęła na palcach i pocałowała go w czoło.

Spojrzał jej w oczy.

– Myślisz, że tu jest mój dom? – zapytał.

– Oczywiście. Ty jesteś nasz.

– W połowie – doprecyzował z uśmiechem.

– W twoich żyłach płynie łużycka krew, a ile jej jest, nie ma znaczenia. – Ciotka Hilza machnęła ręką. – Zostań, ile chcesz.

– Chcę wynająć hotel gdzieś w centrum albo pod miastem...

– Żartujesz sobie, młody człowieku? – zawołała z oburzeniem. – Mam cię zaraz kopnąć tam, gdzie kończą się plecy?

Roześmiał się.

– Nie chcę się narzucać, *Tante*, zdaję sobie sprawę, że...

– Nawet nie kończ, bo zaraz naprawdę każę ci się odwrócić i wypiąć kuper. Siadaj do stołu. Zjesz coś? Robię właśnie kolację.

– Nie jestem głodny, dziękuję.

– Ale napij się herbaty?

– Dobrze, herbata może być – skapitulował. – Najlepiej czarna, ale wypiję każdą.

– Wieczór już, a tu wciąż gorąco jak w piekle. Zrobię ci mrożonej – zaproponowała ciotka.

Nie oponował. Usiadł przy drewnianym stole, który zrobił chyba stolarz amator. Błat był wyslizgany przy krawędziach, w miejscach, gdzie zwykle trzyma się łokcie. Jego środek znaczyły kółka po kubkach z gorącą zawartością, miejscami drewno było wgniecione, jakby na stół upadło coś ciężkiego. Ślady użytkowania świadczyły o jednym: przy tym stole spędzano dużo czasu, i to w sporym gronie. Mebel był jak certyfikat rodzinnych stosunków panujących w tym domu, i to certyfikat najwyższej klasy. Vogel poczuł lekki smutek i coś w rodzaju zazdrości. Czekając, aż ciotka przygotuje herbatę, powoli przejechał dłonią po blacie, czując na skórze każdą nierówność i chropowatość.

– Jak droga?

Drgnął, wciąż wpatrzony w blat.

– Słucham? – Jego powieki zatrzepotały lekko.

– Pytam, jak minęła ci droga? – Ciotka odwróciła się od kredensu i brzęknęła szklanym dzbankiem, z którego przelewała do szklanki mrożoną herbatę.

– W porządku. To tylko niecałe cztery godziny. – Uświadomił sobie, jak niedaleko miał do miejsca, z którym łączyło go tyle i nic jednocześnie.

Ciotka postawiła przed nim szklankę z napojem. Vogel dotknął zimnego szkła, a potem starł opuszką skroploną na jego powierzchni wodę.

– Kiedy widzieliśmy się ostatnio na pogrzebie mamy, nie powiedziałem ci wszystkiego. – Chwycił szklankę i pociągnął spory łyk, czując, jak lodowaty płyn rozlewa się po słuzówce wysuszonego gardła.

– W ogóle mało mówiłeś, ale to zrozumiałe. – Ciotka zmarszczyła brwi, śledząc wzrokiem ruch szklanki, którą jej siostrzeniec odstawił od ust na stół z cichym stuknięciem.

Vogel bawił się nią przez chwilę, wodząc palcem po obrzeżu.

– Wiedziałem, że mama wam o wszystkim mówiła, nie powinienem być się tak zachowywać – powiedział w końcu. – Nie wobec ciebie i wuja Měřcina. A właśnie: gdzie on jest?

– W pracy. Gdzie on może być? – Ciotka wzruszyła ramionami. – Posiedziąłby w domu, jak normalny człowiek, ale nie: praca przecież ważniejsza.

Powiedziała to bez cienia goryczy, ciepłym tonem, i po tym Vogel zorientował się, że ciotkę i wuja wciąż łączy to, co chyba nigdy nie łączyło jego matki i ojca. A przynajmniej on tych czasów nie pamiętał. Tak jak jedne małżeństwa są

sobie pisane, tak inne nie powinny się nigdy zdarzyć. Związek ciotki i wuja był przykładem tego pierwszego, drugie dotyczyło jego rodziców.

– Dalej działa w...? – Urwał, pocierając z zakłopotaniem nos.

– Domowinie – dopowiedziała ciotka. – Tak, pracuje w *Haus der Sorben*, jest już wicedyrektorem, choć dawno powinien przejść na emeryturę. I siedzieć w domu na swoim pomarszczonym dupsku, przy mnie.

Pokiwał głową, usiłując pokryć zmieszanie spowodowane tym, że nie pamiętał tej nazwy. *Domowina*, czyli Ojczyzna, była stowarzyszeniem reprezentującym interesy Serbów łużyckich w Niemczech. Istniała od ponad stu lat, a wuj działał w jej strukturach, praktycznie odkąd przestał być dzieckiem. Stanowisko w Domu Łużyckim, o którym wspomniała przed chwilą ciotka, było zapewne szczytem kariery, a na pewno spełnieniem jego marzeń.

– Mawia, że następnego dnia po odejściu z pracy znajdę go martwego w łóżku, bo życie straci dla niego sens. Jakbym ja nie była sensem życia tego starego dziada, wyobrażasz sobie? – Uniosła brwi w udawanym oburzeniu.

Vogel znów się roześmiał, ale uśmiech zszedł mu nagle z twarzy jak zdmuchnięty przeciągiem. Ciotka wyglądała, jakby zbierała się w sobie. Jak gdyby wahała się albo wręcz walczyła, czy podzielić się z nim czymś, czy jednak nie. Zwyciężyła pierwsza opcja.

– Wiesz, że Siegfried nie żyje? – powiedziała w końcu. – Został zastrze...

– Nie chcę o nim rozmawiać, *Tante* – przerwał jej, zbyt gwałtownie, ale to było silniejsze od niego.

Zobaczył, jak w oczach ciotki miga nagle coś nieokreślonego.

– To brat twojej matki – szepnęła.

– Niestety – burknął. – I twój też.

– Mama... Worsza opowiadała ci o nim? – zapytała zduszonym głosem.

– Nie. – Spojrzał na nią z zaskoczeniem. – Nigdy nie wspomniała o nim słowem. Ale i tak nie chcę poruszać jego tematu. Po prostu nie, dobrze?

– Dobrze... – W jej głosie była jakaś ulga.

Splecione, zaciśnięte na sobie palce rozluźniły się, a łokcie oderwały od blatu. Ciotka przeczesła włosy obiema rękami, a potem poprawiła kok.

– To opowiadaj, co tam u ciebie – zaproponowała z udawaną wesołością w głosie.

Uśmiechnął się, trochę smutno.

– Cóż... O tym, co się stało dwadzieścia lat temu, wiesz. A potem? Hmm... Nazywam się teraz Heinrich Vogel. Zmieniłem rodowe nazwisko, bo z człowiekiem, który mi je dał, nie chciałem mieć nic wspólnego. Mam niemieckie obywatelstwo, po wyjściu z więzienia żyłem przez jakiś czas w Niemczech, a kiedy mama umarła, okazało się, że odziedziczyłem po niej niezły majątek. Po rozwodzie mój ojciec zostawił jej oprócz złych wspomnień z małżeństwa całkiem sporo gotówki i parę nieruchomości, a ona inwestowała i obracała nimi. Z sukcesami, choć nie miałem o tym pojęcia. Kupiłem Łódź, zamieszkałem na niej i od tamtej pory nie robiłem nic. A niedawno zginął też on... – Słowo „ojciec” nie chciało mu ponownie przejść przez usta.

– O nim też nie chcesz rozmawiać? – Teraz ciotka przeważa jemu.

Vogel był trochę zły, że mimowolnie w swojej opowieści zszedł na temat Zenona Ptasznika.

– Wszystko wiesz, *Tante* – mruknął. – Mama pewnie ci opowiadała, co?

– Trochę – przyznała ciotka. – Kiedy jeszcze żyła. I to wystarczyło.

Vogel przez chwilę bił się z myślami. Tak jak przed chwilą ciotka, on też nie był pewien, czy chce jej coś powiedzieć, ale ciśnienie było zbyt duże, żeby szambo nie wybiło. Mógł tylko pilnować, by ten upust był kontrolowany. Nie mógł zdradzić zbyt wiele, ale coś musiał. Inaczej to ciśnienie rozsadziłoby zbiornik. Rozsadziłoby jego.

– Powiem ci tylko jeszcze, że ostatnimi czasy mój ojciec i wujek Frido nawiązali biznesową współpracę. Z oczywistych względów zakończyła się.

– Czy...

Vogel wiedział, o co chce zapytać ciotka.

– Tak, ich śmierć była konsekwencją tej współpracy. Zasiali wiatr i zebrali burzę, która zmiotła ich z tego świata niemal jednocześnie. I na tym faktycznie zakończmy temat.

– O zmarłych albo dobrze, albo wcale?

– O nich wyłącznie wcale, *Tante*. – Wywarczał te słowa, więc żeby zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, postarał się, żeby następne zabrzmiały miękko i przyjaźnie. – Może ty opowiesz mi teraz o was?

Twarz ciotki wypogodziła się, a jemu zrobiło się trochę lepiej. Ciśnienie zelżało. Człowiek ma w sobie jakąś natu-

ralną potrzebę wyrzucania z siebie rzeczy, które go uwierają, a on nie był wyjątkiem. Postanowił jednak, wręcz przyrzekł to sobie, że pokrywa akurat tego zbiornika pozostanie już na zawsze szczelnie zamknięta.

– To słucham, *Tante*. – Upił kolejny łyk. – Niech ciocia opowie, co u was.

Ciotka rozpromieniła się, machając ręką, ale po wyrazie jej twarzy Vogel wiedział, że ten gest jest wyłącznie kokieteryją. Była dumna ze swojej rodziny i ta duma od niej biła, a on mimowolnie poczuł lekkie ukłucie zazdrości.

– O Měrcinie już wiesz. Handrij i Lejna robią kariery w Dreźnie...

Jego kuzynostwo, bliźnięta, było ponad dziesięć lat starsze od niego, pamiętał ich słabo, bo widywali się raz w roku, w wakacje, i to tylko wtedy, kiedy nie jechali na obóz pionierów FDJ, socjalistycznej młodzieżówki, będącej przybudówką SED. Komunistyczna Partia Niemiec wychowywała młodzież w duchu socjalizmu już od dziecka. Stracili ze sobą kontakt, kiedy Handrij i Lejna wyjechali do Drezna na studia: on miał wtedy osiem lat i uważał kuzynów za równie starych, co wujostwo i rodziców. Pamiętał jak przez mgłę, kiedy Handrij pojawił się w domu w mundurze, bo przed studiami musiał odbyć obowiązkową służbę wojskową w Armii Ludowej, a potem robotniczą praktykę w jakiejś fabryce. Patrzył wtedy na niego z podziwem i całą tą pełną żalu, że to nie on, zazdrością: taką, na jaką tylko stać chłopaka zaczynającego latać z kolegami po podwórkach, udając policjantów i złodziei, bez świadomości, że gdyby jego kuzyn urodził się choć dwa lata później, wątpliwa przyjemność służenia ojczyźnie ludowej ominęłaby go.

Nikt wtedy nie był świadomy, że żelazna kurtyna niedługo opadnie, zmieciona wiatrem historii, zmieniając wszystko; naprawdę wszystko.

– Handrij pracuje w jakiejś firmie medycznej, jest analitykiem na dość wysokim stanowisku. Ma żonę, drugą, bo z pierwszą mu nie wyszło. To była zdzira, dobrze się stało, że się rozeszli, zanim dorobili się dzieci, bo nie wiem, co by było. A Heike jest świetną dziewczyną. To Niemka. Mają dwójkę dzieciaków i... – Ciotka przerwała na chwilę, jakby straciła wątek. – Mieszkają w Dreźnie, Lukas i Lara nie mówią niestety po łużycku. Znają może parę słów, które zapamiętały z pobytów u nas.

– To tak jak ja.

– Mama nie uczyła cię *serbsćiny*? – W głosie ciotki słychać było lekki zawód, a z intonacji wynikało, że to nie było do końca pytanie.

– Nie, tylko niemieckiego. Kiedy się urodziłem, mama знаła już dość dobrze polski, ale i tak rozmawiała ze mną po niemiecku, kiedy ojciec nie słyszał. To dzięki temu jestem dwujęzyczny.

– Dobrze i to...

– A Lejna? – zapytał Vogel, nie chcąc kontynuować tego wątku.

Nie miał ochoty do rozmowy na żaden temat, który choćby ocierał się o jego ojca.

– Lejna także mieszka i pracuje w Dreźnie. Jest graficzką i ilustratorką książek, maluje też obrazy.

– Mąż, dzieci?

– Wiesz, ona jakoś nigdy do mężczyzn szczęścia nie miała. Same przelotne związki, za jednego wyszła, ale potem

się rozwiodła. Cóż, Lejna zawsze chodziła swoimi ścieżkami. – Przez jej twarz przemknął cień smutku, a Vogel pomyślał, że chciałby mieć tylko takie problemy.

Chwilę później doszedł do wniosku, że wszyscy na tym popieprzonym świecie niosą swoje własne krzyże. I że z tymi krzyżami jest podobnie jak z bólem: jego odczuwanie jest subiektywne, bo każdy ma na niego inną tolerancję. Jeden zniesie go więcej, inny mniej, więc nie ma nic głupszego niż licytowanie się na nieszczęścia.

– A ty, *Tante*? – zapytał.

– Ja? – Na usta ciotki wrócił uśmiech. – Ja od kilku lat jestem na emeryturze, zajmuję się domem i babcią.

– No właśnie, jak się czuje *Oma*? – Wszedł jej w słowo, udając, że nie mógł się wręcz doczekać, aż o nią zapyta.

Ciotka zaskoczyła go potężnie, bo był pewien, że babka zmarła dawno temu. Bogumiła Noack była w rzeczywistości babką jego, a nie ciotki, ale ciotka, podobnie jak wiele starszych osób posiadających potomstwo, po prostu określała matkę tak, jak zwracały się do niej jej własne dzieci.

Oma już trzydzieści pięć lat temu wydawała się Voglowi wiekowa. Pamiętał, jak podczas którejś z wizyt w tym domu zszedł kiedyś rano na dół i zobaczył, jak z saszetki z lekami babka wyciąga kilka blistrów tabletek i wyłuskuje po jednej z każdego. „Ech, Hajnak, ja już długo nie pożyję, dziecko, taka jestem chora” – powiedziała, kiedy zapytał, po co bierze tyle lekarstw, a on się tym strasznie przejął, jak to dzieciak.

– W maju stuknęło jej dziewięćdziesiąt pięć lat. – Ciotka podkreśliła te słowa odpowiednią miną, stanowiącą pomieszanie podziwu i zdziwienia. – Od półtora roku nie chodzi, ma niegojące się rany od żyłaków na nogach, więc leży

Heinrich Vogel stracił niemal wszystko, prócz wolności.

W Polsce nie trzyma go już nic, więc postanawia wrócić do swoich korzeni. Wyjeżdża do Budziszyna, serca Łużyc, skąd pochodziła jego matka i tam próbuje dowiedzieć się, dlaczego czterdzieści pięć lat wcześniej zdecydowała się na małżeństwo z jego zniechęconym ojcem i opuściła swój kraj. Przyjęty ciepło przez rodzinę zaczyna czuć się powoli jak u siebie, jednak w jego otoczeniu zaczyna dziać się coś złego. Komisarz Kurtz z budziszynskiej policji kryminalnej łączy przyjazd Vogla z tajemniczą śmiercią robotnika budowlanego oraz zabójstwami dokonanyimi przez sprawcę określanego mianem Silvesterkiller trzydzieści lat wcześniej.

Gdy celem mordercy staje się Vogel, razem z Kurtzem i Iwoną Banach dochodzą do wniosku, że wszystko to wiąże się w jakiś sposób z losami jego rodziny. To, czego się dowiadują, wywraca świat Vogla do góry nogami.

A nad wszystkim unosi się duch Krabata, adepta czarnej magii z siedemnastowiecznej łużyckiej legendy.

cena 47,90 zł

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilii.pl



FILIA MRO CZNA
STRONA

ISBN 978-83-8357-667-1



9 788383 576671